

Dwa oblicza Wenecji

Andrzej Siedlecki

Marzeniem mojego dzieciństwa były podróże. Już wtedy, kiedy zbierałem kartki pocztowe



z różnych stron świata, wędrowałem w myśli po krajach, do których zamierzałem pojechać. Najczęściej pojawiającym się motywem była kolorowa Wenecja. Z turkusową wodą w kanałach i błękitem pocztówkowego nieba, z gołębiami na Placu Św. Marka i pięknymi pałacami. Los chciał, że swoje marzenia zrealizowałem po latach...

Była lipcowa sobota. Podróżowałem auto - stopem. Po kilku godzinach oczekiwania na szosie znalazłem się wreszcie w towarzystwie sympatycznego włoskiego małżeństwa.

- *Do Wenecji? Ciekawe miasto, warto zobaczyć. A my na wakacje. Zabierzemy jeszcze po drodze syna i będziemy już w komplecie. Włoch z przyjemnością pokazywał mi zdjęcia rodzinne, poczynając od babci i dziadka, a kończąc na siedzącym z tyłu bobasku. Zrozumiałem ile u nich znaczą więzy rodzinne i radość, wynikająca ze wspólnych rodzinnych spotkań.*

Na horyzoncie, wyrosły konstrukcje jakichś przemysłowych budowli: przecięta autostradą równina, a po lewej i po prawej stronie kontury kominów – i wielkie dźwigi z zapalonymi żarówkami, ostrzeżenie dla samolotów. Wrażenie było nieprzyjemne i jakoś nie mogłem nie mogłem sobie uzmysłowić, że obok wspaniałego, zabytkowego miasta może istnieć coś tak zupełnie nie pasującego do jego klimatu. W tym sino – szaro - niebieskim kolorze wszystko wyglądało nierealnie, smutno i brzydko. Gdzie podział się piękny świat z moich pocztówek?

Do miasta pociętego kanałami, wjechać samochodem już nie można. Kilku policjantów kieruje wprost gigantycznym ruchem. Szukamy miejsca na zaparkowanie. Obok nas słychać ciągle dźwięk klaksonów. Jedni wracają, bo nie mogli znaleźć miejsca na parkingu, inni jeszcze o tym nie wiedzą i jadą z nadzieją, że je znajdą. Odnosiło się wrażenie ogromnego chaosu. Paradoks cywilizacji, jak na dłoni - człowiek wyzwolił siłę, nad którą już nie potrafi zapanować.

Około godziny dwudziestej drugiej rezygnujemy z dalszych poszukiwań i docieramy do przystani, skąd odpływają stateczki do centrum miasta. Do kasy biletowej trudno się dopchać. Na święto, które dzisiaj wypada, wybierają się całe rodziny, nierzadko z dziećmi na rękach. Sercem uroczystości będzie Plac Św. Marka. Zaopatrzeni w bilety zostajemy niemal wepchnięci na mały stateczek, który wraz z innymi spełnia tu rolę komunikacji miejskiej. Z jego okien widać migające światła domów, podświetlone reflektorami pałace i przepływające obok, ustrojone kwiatami i lampionami gondole.

Słychać dźwięki gitar i ciche jeszcze śpiewy. Dźwięk przybliża się jednak i oto widzę przez skrawek okna mijającą nas gondolę. Na jej dziobie młody Włoch, ubrany w białą, haftowaną koszulę, na której kładzie się blask pochodni z dziobu, uderza w struny gitary, śpiewając przy tym akompaniamencie jakąś ludową piosenkę.

Zeszliśmy ze statku na Pl. Św. Marka. A więc to tu! Oglądam się wokół i wydaje mi



się, że jestem w teatrze, a wszystko dookoła, to świetna historyczna dekoracja. Restauracje i kawiarnie gościnnie „wychodzą” krzesłami i stolikami na zewnątrz. Siadamy i zamawiamy coś do picia. Na placu tłum. Młodzi i starzy weneccjanie, turyści, „przeptywają” w różne strony. Słucham tego gwaru: nawoływań dzieci, obcojęzycznych

wyrazów, salw śmiechu i dźwięków gitar. Młodzież ubrana w dziwaczne i kolorowe stroje przysiąda na placu, żeby pogwarzyć, opowiedzieć ostatnie dowcipy, spotkać znajomych. Gdzieś widać potyskującą butelkę wina, wędrującą z rąk do rąk, ale nie widzę nikogo, kto by zburzył ten nastrój ludowego święta jakąś burdą lub nieodpowiednim zachowaniem. Bo wino we Włoszech pije się inaczej. Pije się je podczas obiadu, aby ugasić pragnienie, wreszcie dla samej przyjemności, ale nigdy po to, aby się upić. Płacimy rachunek i przepychamy się na nadbrzeże.

Mała torba, którą cały czas dźwigam staje się coraz cięższa. Po mieście prawie nie można się już poruszać. Gęsty tłum. Ludzie czekają na „gwóźdź programu” czyli iluminacje świetlne.

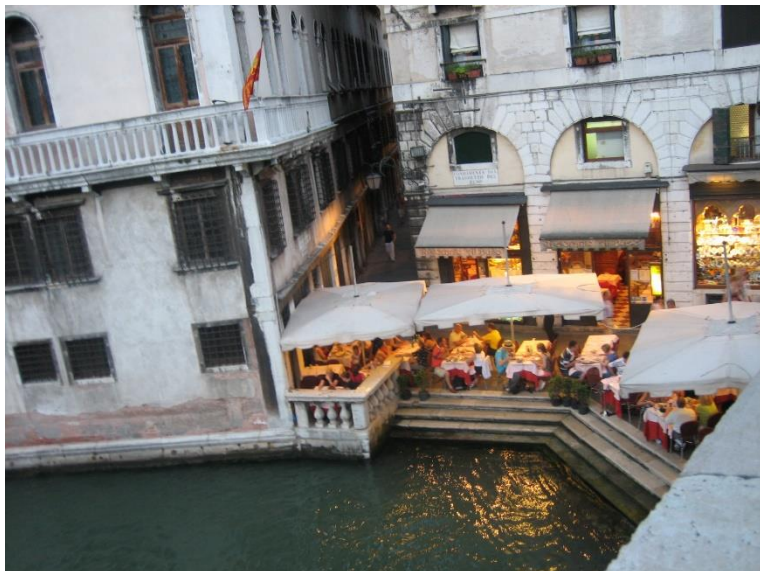
Z daleka widzę wysoką estradę, na której włoski zespół ludowy śpiewa i tańczy. Wszyscy są pogrążeni w jakimś radosnym podnieceniu i oczekiwaniu. I oto pierwsza raca rozbłyskuje na gwiazdzistym niebie. A za chwilę jest ich tyle, że nie wiadomo, co jest racą, a co prawdziwą gwiazdą. Całe niebo pokryte jest odpryskami różnokolorowych świateł, jakby iskrzącym się ogonem pawia. Ta gonitwa blasków trwa przez czterdzieści pięć minut i nigdy nie można przewidzieć, jaki kolor jeszcze zabłyśnie i w jaką figurę się ułoży.



Widok na Pl.św.Marka -po prawej Pałac Dożów

Trudno oderwać oczy od tej galopady szalejącego światła. Lecz nagle robi się ciemno. Nie, to nieprawda! To tylko skończyły się fajerwerki i oczy nie mogą przyzwyczać się do zwykłych latarni...

Rodzina po włosku



Moi przygodni towarzysze poczuli się zmęczeni i głodni. Ja, prawdę mówiąc też. W głowie mi huczało, a żołądek domagał się swojej porcji. Ocierając się o tłum wracający do domów, szukaliśmy miejsca, gdzie można by coś przegryźć. Ponieważ poprzedniego dnia żyłem po królewsku jak na biedaka, to moje oszczędności szybko stopniały i dzisiaj spoglądałem raczej na małe barki, w których za 400-500

lirów można zjeść jakieś marne spaghetti. Zapowiedziałem więc, że za 45 minut, jeśli będą mieli ochotę, spotkamy się i połączymy razem po mieście. Oni poszli do restauracji, a ja jednak z ciekawości wszedłem do podrzędnej knajpki. Tłum i chaos panowały tu niepodzielnie. Nie było ani widnych lamp, ani czystych ścierek. Na stołach leżały brudne, pozalewane obrusy, a kelnerzy niczym źli baletmistrze, chodzili z tacami w wyświechtanych i nakrapianych sosami białych bluzach. Jedni klienci wychodzili, na ich miejsce zjawiali się natychmiast inni. Obok mnie, przy ogromnym podłużnym stole zasiadła bardzo liczna włoska rodzina, w wieku od 4 do 80 lat. Naradzali się z 15 minut i zamówili różnego rodzaju *pizze*.

Pizza, obok przestawnego *spaghetti* jest jak wiadomo drugą popularną potrawą włoską. Mając różne rodzaje *pizy* na talerzach, „moja” rodzina zaczęła je dzielić między siebie, aby każdy mógł urozmaicić swoje menu. Dzieciaki, które już o tej porze (druga w nocy) powinny raczej spać, tonęły w olbrzymich *gelatti* - lodach o różnych smakach, a mamy, co chwila wycierały umazane lodami nosy, ręce i ubrania.

I tu, w tej małej restauracyjce zrozumiałem sens rodzinnej wspólnoty Włochów. Włosi żyją bardzo „stadnie”. Problemy jednego członka rodziny stają się zaraz wspólne i wszyscy natychmiast zaczynają je roztrząsać, próbując im zaradzić.

Nierzadko włączają w to swoich najbliższych sąsiadów, a wtedy cała kamienica lub uliczka wie co się wydarzyło. To zaś świetny pretekst, by się spotkać przy winie na kolacji i pogwarzyć o swoich sprawach. Nie są przez to tak wyizolowani jak Francuzi, a rodzina daje im poczucie bezpieczeństwa i siły. We Francji w okresie tzw. „rewolucji majowej” w roku 1968 oprócz cytatów z Marksa, św. Augustyna i innych, na murach Paryża pojawiły się znamienne napisy: „Rozmawiajcie z sąsiadami”. Tym na pozór błahym hasłem chciano tam zwrócić uwagę na znaczenie kontaktów z innymi ludźmi, na hermetyczne zamknięcie się rodziny w „domu - bunkrze”.

Być może to otwarte, włoskie życie niemalże na ulicy jest dobrym lekiem na społeczną izolację rodziny? W rezultacie byłem więc zadowolony, że nie poszedłem na *spaghetti* na barkę.

Dopijając piwo, spostrzegłem moich znajomych przez szybę. Machnęli mi konwencjonalnie ręką i nie zatrzymując się - poszli. Zapłaciłem rachunek i wyszedłem. Włączyłem się po małych, ciasnych uliczkach, pokonywałem mosty i mostki. Wokół mnie tętniło życie. Około trzeciej po północy poczułem ogromne znużenie. Gdzie pójść? Gdzie znaleźć nocleg? Na hotel nie miałem pieniędzy. I wpadłem na pomysł...Tak! Będę spał w gondoli! Poszukałem odpowiedniego miejsca i ulokowałem torbę pod głową - usnąłem.

Druga prawda o Wenecji

Około 6 rano, pokrzepiony snem, ale trochę zziębnięty, obmyłem się pod jakąś pompą, włożyłem nowy film do aparatu fotograficznego i wyruszyłem na „polowanie”. Właściwie nie trzeba było wiele szukać. Każdy dom, każdy zaułek, most i pałac są tu samą historią. Chyba wszystkie okoliczności mojego niecodziennego spotkania z Wenecją złożyły się na wrażenie, że teraz, w blasku słońca, znów poruszam się jak wśród dekoracji teatralnej. Ale była to inna dekoracja. Słońce bezlitośnie demaskowało pocztówkowe obrazy. Owszem, widać było dawna urodę miasta, lecz jednocześnie oko zauważało zniszczenia wyrządzone przez czas i wodę. Leżące gazety, papiery i plastikowe opakowania dopełniały reszty wizerunku.



Nigdy nie zdarzyło mi się odczuwać tak silnie kontrastu świetności historii ze współczesnością - szarą i brzydką.

To miasto powstałe na wodzie, zrodzone z instynktu samoobrony człowieka przeżywa swoją tragedię.

Jest żywe i umiera. Fundamenty obrośnięte zielonym planktonem, schody prowadzące prosto do wody, drzwi które wydają się być nigdy nie otwierane, mury z opadającym i kruszejącym tynkiem – wszystko to wyraźnie różniło się od wczorajszego świata. Dawna świetność zabytków - to przeszłość. Szukałem śladów walki człowieka z postępującym rozkładem – znalazłem ich bardzo mało. Właściwie trzeba by odrestaurować całe miasto.



Czy będzie to możliwe? Chciałem utrwalić na zdjęciu dramat miasta, szukałem najbardziej wymownego miejsca. Wydawało mi się, że znalazłem. Zrobiłem więc zdjęcie i teraz, gdy na nie patrzę...wydaje mi się jednak ładne. Nie widać dużego dramatu. Zrozumiałem teraz tę pocztówkową „prawdę”. Świat w folderach, na pocztówkach, w telewizji jest piękniejszy, ale nie pokazuje całej prawdy o miastach, ludziach i problemach.



Ale mimo wszystko, Wenecja, to fascynujące miasto!

*PS: Na mojej stronie pod adresem: www.andrzejsiedlecki.pl można znaleźć różne filmy, klikając na napis **Filmy-Opis** lub **Youtube**, nagrania audio pod **Moje nagrania** - jak „Historia Polski w literaturze” i inne. Serdecznie zapraszam!*